



# ZYCIOWE DECYZJE

WIKTORIA GISCHE

MANDO 

# Rozdział 1

Stary zegar rytmicznie odmierzał czas. Wskazówki przesuwały się po cyferblacie leniwie, ale bezustannie, niczym niestrudzeni wędrowcy brnący do celu podróży. Dochodziła dziewiętnasta.

Eleonora podeszła do okna. Od kilku godzin padał śnieg. Krakowski Rynek przykrył się białą, skrzącą się w świetle latarni śnieżną pierzynką.

Przechodnie, kuląc się w płaszczach z wysoko podniesionymi kołnierzami, przemykali czym prędzej, ignorując otaczający ich zimowy krajobraz. Z oddali doleciał do uszu Eleonory radosny dziecięcy śmiech.

Kąciki jej ust same uniosły się do góry. Chętnie wyszłaby na dwór. Na spacer, do parku, gdzie ciężkie od białego puchu konary słańały się ku ziemi, jakby oddawały pokłon.

Obrazy te przywołały wspomnienie ich niedawnego wypadu z Julianem. Sobota ósmego stycznia była pierwszym słonecznym dniem od Nowego Roku, który krakowianie przywitani w asyście maszerujących oddziałów biorących udział w zorganizowanej przez miasto rewii wojskowej.

– Deszcz wreszcie dał za wygraną. – Julian przyglądał się, jak Eleonora poprawia twarzowy kapelusik. – Już zaczynałem wątpić, czy jeszcze kiedyś zobaczymy słońce. Rzecz niesłychana, ale czułem dopadające mnie przygnębienie, które potęguje obawa o stan zdrowia taty.

– A jak czuje się hrabia Michałowski? – Eleonora spojrzała na Juliana z troską.

Od kilku dni nie odwiedzała hrabiego z uwagi na swojego ojca, który całymi dniami przesiadywał w gabinecie, a kiedy już go opuścił, nie można się było dopatrzeć na jego twarzy nawet namiastki radości. Wyjazd matki musiał doskwierać Schrammowi bardziej, niż chciałby się do tego przyznać.

– Zdecydowanie lepiej – mówił Julian, prowadząc Eleonorę w stronę zaparkowanego niedaleko forda, którym swego czasu wrócił z Paryża do domu.

Ileż wówczas napsuł krwi tym samochodem. Autem dla parweniuszy. Autem dla pospólstwa. Motłochu. Samochodem niegodnym hrabiostwa Michałowskich. Dziś jego fordzik, jak pieśczołiwie go nazywał, nie robił już na rodzicach żadnego wrażenia. Zwłaszcza hrabia Aleksander zmienił zapatrywania na życie. Wojna zweryfikowała niektóre jego poglądy i dlatego zaczął bardziej liberalnie patrzeć na świat.

– Jeżeli rekonwalescencja będzie szła nadal w obecnym kierunku i nie wystąpią nowe, nieoczekiwane komplikacje, możemy się spodziewać, że ojciec zostanie wypisany za kilka dni.

– To cudownie. Kiedy widziałam go po raz ostatni, nie wyglądał na szczęśliwego. Potrafię go zrozumieć. Chociaż jestem pielęgniarką, a środowisko szpitalne jest mi tak dobrze znane jak rodzinny dom, to i tak najszcześniejsza czuję się we własnym pokoju. Dom to dom. Uważam, że każdego pacjenta, który nie wymaga specjalistycznej opieki, powinno się jak najszybciej wypisywać.

– Jestem tego samego zdania. – Julian prowadził pewnie.

Ruch na drogach był mały, chociaż słoneczna pogoda zachęcała do wypadów za miasto.

– Nie powiedziałaś jeszcze, dokąd mnie zabierasz? – Eleonora zerknęła na Michałowskiego.

Jechali prawie pustą ulicą Królowej Jadwigi. Minęli akurat wartownię „Wola Justowska”, która jeszcze dwa lata temu była częścią bramy mieszczącej się tu twierdzy.

– Do willi Decjusza – odparł. – Zapewne byłaś tam już nie raz, prawda?

– Raz jeden, kiedy byłyśmy jeszcze małymi dziewczynkami, rodzice zabrali nas do parku Decjusza. Dom był, i chyba nadal jest, własnością prywatną. Czyż nie należy do Czartoryskich?

– Za chwilę będziemy na miejscu. Mój wybór nie jest przypadkowy. – Julian spojrzął na Eleonorę.

Ogniki radości tańczyły w jego oczach. Coś przed nią ukrywał. Jednak dobrze wiedziała, że naleganie na wyjawienie powodów, dla których zdążali w kierunku pięknego pałacu, miało się z celem.

Na widok dworu Eleonora westchnęła. Budynek zapierał dech w piersiach. Miała wrażenie, że takie domy widuje się tylko w wielkich metropoliach, takich jak Rzym, Paryż, Florencja. A jednak taka perełka architektoniczna stanęła tu, w Krakowie.

– Jest piękna – powiedziała, zniżając głos do szeptu, jakby zbyt głośna rozmowa miała zaburzyć harmonię stworzoną przez gmach i otaczający go krajobraz.

– Przygotowałem się – Julian szepnął jej do ucha. Roześmiała się, ale nie rzuciła żadnej riposty. – Pierwotnie dom, który zlecił wybudować Just Ludwik Decjusz, wyglądał inaczej. – Eleonora wzięła Juliana pod rękę. Powoli zbliżali się do budynku. – Na przestrzeni wieków był kilka razy przebudowywany. Dwór należał do Lubomirskich, Sanguszków, Wielowiejskich. W drugiej połowie ubiegłego wieku właścicielką została Marcelina Czartoryska, która, nie wiem, czy słyszałaś, była uczennicą Fryderyka Szopena. W czasie wojny urządzono tu koszary, co osobiście uważam za niegodziwość i zbrodnię na tak pięknym domu, ale wiadomo, że wojna rządzi się swoimi prawami.

Julian zamilkł na chwilę. Eleonora nie przerwała panującej ciszy. Rzadko rozmawiali na temat walk i bitew, w których brali udział i przez które przeszli.

– Nie przyjechaliśmy tu tylko po to, żebyś mógł opowiedzieć mi historię tego miejsca, prawda? – Eleonora odwróciła się w stronę Juliana.

Uśmiech, który pojawił się na jego przystojnej twarzy, potwierdził przypuszczenia. Michałowski skrywał tajemnicę. Uniosła brew. W milczeniu czekała, aż w końcu wyjawi powód dzisiejszego wypadu.

– Dowiedziałem się o tym zaledwie kilka dni temu. Byłem zaskoczony i oburzony, że nie zostałem o sprawie poinformowany wcześniej. Pominęto mnie w rozmowach, w których ja jako prawnik, który radzi sobie całkiem dobrze, powinienem odegrać rolę kluczową. Czyżbym miał o sobie zbyt wysokie, ale błędne mniemanie? Czyżbym fałszował rzeczywistość i widział siebie w krzywym zwierciadle? Czyżby pochwały, które zbieram, były czczym wymysłem? A może zachowanie mego ojca, które przed wypadkiem zdawało mi się odmiennym od tego, jakim było jeszcze w czasie wojny, jakoby akceptował mnie jako prawnika, było pozą? Może to tylko gra? Może w rzeczywistości wcale mnie nie ceni i wciąż ma mi za złe, że zamiast na agronomię poszedłem na prawo? A może za sprawą stoi matka, wciąż dąsająca się i niezdolna zrozumieć, że świat arystokracji trzymającej ster władzy już dawno przeminął?

Julian wyglądał na wzburzonego.

Eleonora nie ponaglała. Kiedy znajdował się w takim nastroju, lepiej było go nie drażnić. Zamilkł. Zamyślił się. Wyglądał, jakby zapomniał o jej istnieniu. Śmiech spacerującej nieopodal pary przywrócił go do rzeczywistości.

– Przepraszam, ale wciąż nie wiem, czy bardziej jestem zaskoczony, czy jednak zdenerwowany? Czy powinienem podziękować losowi, że ojciec zechciał mnie wtajemniczyć, czy odrzucić propozycję, unosząc się dumą?

– Julianie – odparła Eleonora. – Nie powiem ci, co powinienesz zrobić, dopóki nie powiesz, co się stało.

– Widzisz, jaki jestem rozdrażniony – mówiąc to, roześmiał się, rozluźniając napiętą atmosferę. – Jak wspomniałem, były tu koszary, ale wojna się skończyła, wojska odeszły. Pod koniec 1918 mało znana organizacja finansowa „Wola Justowska” zakupiła ten budynek z zamiarem otwarcia tu eleganckiego pensjonatu. Najwyraźniej nie zmierzono sił na zamiary, bo pod koniec ubiegłego roku, pocztą pantoflową, rozgłoszono informację, że willa jest na sprzedaż. – Julian przystanął. Zamilkł. Budował napięcie, co udało mu się doskonale, ponieważ Eleonora wstrzymała oddech. – Wyobraź sobie, że nasi ojcowie złożyli ofertę kupna, która została zaakceptowana. Willa Decjusza od stycznia tego roku jest własnością spółki, którą do życia powołali Aleksander hrabia Michałowski i Jan Schramm.

– To niemożliwe! – zawołała Eleonora. – Kiedy? Jak? Ojciec całymimi dniami siedzi w gabinecie. Zamartwia się. Chyba... – Przerwała.

Czyżby źle odebrała zafrasowanie ojca? To nie zmartwienie. To nie tęsknota. Jan Schramm jak dawniej zatopił się w świecie biznesu, finansów. Znowu działał. Odzyskał chęć do życia. Miała tyle pytań. Spojrzała na Juliana, który pokręcił głową.

– Mnie nie pytaj – odrzekł, jakby czytał w jej myślach. – Nie znam szczegółów. Jak mówiłem, wciąż walczę ze złością, która wzbiera we mnie za każdym razem, kiedy pomyślę, że mój ojciec poszedł do konkurencyjnej kancelarii i zlecił jej całą oprawę prawną. Imaginujesz to sobie? – Pytanie było retoryczne, dlatego Eleonora milczała.

– Kiedy go o to zapytałem, odrzekł, że zrobił to nie dlatego, że we mnie nie wierzy, ale dlatego, że w razie fiaska nie chciałby, żeby za moją kancelarią ciągnął się smród jego niepowodzenia. Nie wiem, czy wierzyć w to tłumaczenie, ale kiedy zastanawiam się nad tym na spokojnie, ma ono sens.

– Ma, Julianie, ma. Twój ojciec wierzy w ciebie. – Eleonora położyła dłoń na jego ramieniu. – Widzę to w jego oczach, kiedy mówi

o twojej kancelarii. Już dawno zapomniał, że miałeś zostać agronomem. Podziwia cię.

– Ale i tak czuję się urażony. Powinienem o tym wiedzieć. Mogłem coś doradzić. Podpowiedzieć.

– Nie dąśaj się. – Roześmiała się Eleonora. – Nasi ojcowie nie spowiadają się swoim dzieciom. Oni też mają swoje tajemnice – mówiąc to, zrobiła zawadiacką minę.

– *À propos* tajemnic... – Julian podchwycił wątek. – Chciałem też porozmawiać z tobą o mojej grudniowej propozycji. Miałem dzieję, że wyjedziemy od razu na początku stycznia.

– Waham się – odpowiedziała Eleonora. – I tak już nadwyrężam cierpliwość ojca. Nie łudzę się, że on nie wie i nie jest świadomy naszych schadzek, ale jest dyskretny. Jednak wyjazd to co innego.

– W takim razie powiedzmy o naszych planach. Prędzej czy później będziemy musieli ustalić datę ślubu.

– Wiem. – Eleonora zapatrzyła się na stojący przed nimi gmach. – Gdyby tylko matka wróciła do domu...

Julian przyciągnął ją do siebie.

Eleonora westchnęła, przyglądając się teraz zaśniewanej połaci Rynku. Sprawa Tekli spędzała jej sen z powiek. Żeby nie roztrząsać problemu, znowu pomyślała o spacerze, na który miała ochotę, i nieco bezdusznie, egoistycznie żałowała, że Julian odwołał dzisiejsze spotkanie.

Hrabia Aleksander Michałowski nareszcie poczuł się na tyle dobrze, że lekarze zdecydowali się wypisać go ze szpitala. Wciąż jeszcze był słaby, ale po konsultacjach, także z rodziną, zdecydowano, że pacjent z pewnością dojdzie do siebie szybciej w domowym zaciszu, wśród najbliższych, niż w szpitalnych murach.

Julian wraz z matką miał odebrać ojca i pojechać z rodzicami do rodzinnego domu w Zakrzówku, gdzie nad przygotowaniami do kolacji miała czuwać, wyjątkowo tego dnia, Rozalia.

Pomiędzy nią a hrabiną Michałowską wciąż panowała niestrawna, ciężka atmosfera, która burzyła spokój Juliana od świąt Bożego Narodzenia, kiedy to pomiędzy paniami Michałowskimi doszło do srogiej sprzeczki. Na dzień powrotu ojca do domu postanowiły zakopać topór wojenny.

Myśl o matce i siostrze sprawiła, że serce Eleonory ścisnęło się z żalu. Tekla Schramm nie chciała słyszeć o powrocie. Przynajmniej na razie. Z kolei Stefcia od kilkunastu dni przebywała we Francji z Grabowskimi. Eleonora z niecierpliwością czekała na wieści od niej. Każdego dnia wypatrywała listonosza. Zerknęła na puste już prawie ulice. Wśród grubych, wirujących na wietrze płatków śniegu, których piękny, swawolny taniec mogła podziwiać na tle jaskrawego światła latarni, chodnikiem przemycyła dwoje zagubionych przechodniów.

Tak mocno skupiła się na widoku za oknem, że nie usłyszała cichego pukania do drzwi wejściowych. Dopiero donośny głos Franciszka, który zęgnął się uprzejmie, przywrócił ją do rzeczywistości.

Otworzyła drzwi sypialni, którą wciąż dzieliła ze Stefanią, i wyjrzała na korytarz. Ojciec także wyściubił nos ze swojego gabinetu, ale widząc, że nie dzieje się nic ciekawego, bez słowa zamknął się w nim na powrót.

Eleonorę korciło, żeby zapytać ojca, co też ma takiego ciekawego do roboty, że całymi dniami nie wychodzi ze swojego męskiego królestwa. I może nawet pokusiłaby się o to w tej chwili, gdyby nie zbliżająca się do niej sylwetka Franciszka niosącego na małej tacy list.

– Zapewne od panienki Stefanii – powiedział, wyciągając korespondencję w stronę Schrammówny.

– A jakże! – zawołała Eleonora.

Była już prawie w swoim pokoju, lecz zmiytygowana, wystawiła głowę zza drzwi i zawołała w stronę Franciszka:

– Dziękuję. – Po czym nie czekając na jego odpowiedź, zniknęła w środku.



Niczym mała dziewczynka klapnęła na łóżko. Bezceremonialnie, bez użycia nożyka do listów, rozdarła kopertę. Wyjęła z niej kilka kartek zapisanych starannym pismem.

Kochana Norciu,

pisać zaczęłam już w pociągu. Po kilku godzinach jazdy, kiedy skład toczył się miarowo po torach, wystukując rytmiczną, uspokajającą melodię, wyjęłam notatnik, który włożyłam do torebki tak na wszelki wypadek. Kiedy go pakowałam, nie myślałam, że przyda mi się tak szybko. Patrząc na mijane krajobrazy, przyglądając się współpasażerom, obserwując zachowania pracowników pociągu, pomyślałam o Tobie. O Twojej chęci zwiedzenia świata, którą raz jeden podzieliłaś się ze mną, opowiadając o przygodach niesamowitej Nellie Bly. Postanowiłam na ten krótki czas wyprawy do Francji narzucić sobie rolę skrupulatnego reportera.

Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy nasz skład zatrzymał się w Pradze. Kiedy wsiadaliśmy do pociągu w Krakowie, pan Grabowski nie zdradził się słowem, że czeka nas przesiadka, a mnie tak nieobytej w podróżowaniu nawet do głowy nie przyszło, że tak się właśnie stanie. Dworzec w Pradze to cudowna perełka.

Nie znałam pana Grabowskiego od tej strony, ale okazuje się, że on, podobnie jak Ty, Norciu, jest fascynatem historii. Czekaając na przesiadkę, udaliśmy się do malowniczej kawiarenki. Wszystkie dworcowe budynki przeszły przebudowę na początku wieku nadającą im styl art nouveau. Otwarte wcześniej perony przykryto dachem, który opiera się na żelaznej, majestatycznej konstrukcji, przywodzącej na myśl misternie utkaną sieć pająka.

Kiedyś przed dworcem stał pomnik cesarza, ale Czesi usunęli go po wojnie, przenosząc do lapidarium, a w jego miejsce postawili statuę prezydenta Wilsona, którego imieniem nazwano też dworzec. Praha Wilsonovo nádrazí – pięknie, prawda?

W końcu, po trzech godzinach oczekiwania, przesiadliśmy się do postawionego składu. I wyobraź sobie moje kolejne zaskoczenie tego dnia, kiedy przyszło nam wsiąść do Orient Expressu. Tak, nie mylisz się. Do Orient Expressu.

Wydawało mi się, że pociągi te kursują tylko z Paryża do Stambułu. Od pana Grabowskiego dowiedziałam się, że firma C.I.W.L.\* włączyła pojedyncze luksusowe wagony do składów międzynarodowych i dzięki temu udało nam się wsiąść do jednego z nich. Trasa pociągu prowadziła z Warszawy Głównej przez Koluszki, Częstochowę, Katowice do Zebrzydowic, skąd ruszały dalej do czeskiej Pragi, gdzie wsiadła nasza trójka, i dalej do Paryża.

Pojawił się bagażowy, któremu pan Grabowski wskazał nasze walizy. W czasie gdy bagaż ładowano do właściwego wagonu, my zajmowaliśmy nasze miejsca.

Och, Norciu, nie jestem w stanie opisać tego luksusu. To lśniące, pachnące drewno ze złotymi ornamentami. Te wygodne tapicerowane fotele, białe wykrochmalone obrusy, obsługa w idealnie skrojonych uniformach i unoszący się zapach kawy. Wybornej, doskonale palonej, z nutą cynamonu. Nie przypuszczałam, że pana Grabowskiego stać na taką podróż, ale nie śmiałam pytać, dociekać.

Nie miałam także odwagi zapytać, czy to aby nasz tatko zapłacił za bilety. Wołałam milczeć i w tym milczeniu cieszyć się z warunków, w jakich przyszło mi podróżować. Pewnie gdybym znalazła się tam w innych okolicznościach, moja radość nie miałaby końca, ale wciąż nachodziły mnie nieprzyjemne, uparte myśli, które burzyły mój dobry nastrój i co rusz popadałam w melancholię.

Kiedy za bardzo zamykałam się w sobie, odcinając od otaczającego świata, z letargu wyrывał mnie pan Grabowski, bo pani Grabowska była równie milcząca jak ja. Opowiadał wówczas o naszych polskich

---

\* Compagnie Internationale des Wagons-Lits (przyp. red.).

kolejach i ich stanie, ma bowiem krewnego, który na kolei pracuje, dlatego informacje o nich ma, rzec by można, z pierwszej ręki.

Otóż polskie pociągi dobrze wyglądają tylko w statystykach. Polityka zaborców, a także lata wojny doprowadziły je do skrajnego wyniszczenia. Łatwo odbudować tory, bo wszak na poczet działań wojennych dbano o ich stan, ale co z mostami, dworcami i w końcu ze składami? Pan Grabowski zapewniał, że praca idzie pełną parą, ale całkowita odbudowa potrwa lata, chociaż ponoć w tym roku ma zostać oddana do użytku nowa linia prowadząca z Kutna do Strzałkowa przez Konin. Przyjemnie było wysłuchać tych wszystkich nowinek. Dzięki temu, że pan Grabowski potrafi tak opowiadać, podróż minęła nam niesłychanie szybko. W końcu dotarliśmy do Paryża. Cieszyłam się i bałam. Na przemian dopadała mnie euforia i strach. Był moment, że chciałam wracać, nie wychodząc na peron. Nie przekraczając granicy dworca, zamówić bilet powrotny do Krakowa, i nie patrząc za siebie, wpaść do pociągu, a potem modlić się, żeby ruszył jak najszybciej.

Nie mogłam jednak tego zrobić.

Nie wiem, jak wygląda paryski dworzec. Nie wiem, jak dostaliśmy się do ogromnej rezydencji Mikołaja hrabiego Potockiego przy avenue de Friedland nieopodal Łuku Triumfalnego. Dopiero następnego dnia zauważyłam piękno ulicy, przy której stoi dom hrabiego, nazywany hotelem Potockiego. To szeroka aleja, z rosnącymi wzdłuż przysypanymi śniegiem drzewami, która biegnie od placu Gwiazdy aż do dworca St. Lazare.

Żołądek i serce miałam ściśnięte, kiedy wchodziliśmy do obszerne- go salonu gościnnego, w którym czekał na nas hrabia Potocki. Stał wyprostowany, jakby odbywał właśnie musztrę. Poważny, skupiony, bez cienia uśmiechu na twarzy, która wskazywała, że przekroczył już pięćdziesiąty rok życia. Twarzy okrągłej, kształtnej, naznaczonej doświadczeniem i smutkiem, w której odznaczały się łagodnie spoglądające na nas błękitne oczy.

Po chwili milczenia, która wydawała mi się wiecznością, odezwał się, witając nas serdecznie. Na ustach, schowanych pod jasnym, dobrze przyszyżonym wąsem, pojawił się uśmiech, który jeszcze się poszerzył, kiedy do salonu weszła żona hrabiego, pani Emmanuela.

Przez kilka minut pan Grabowski rozmawiał z hrabią o rzeczach mało zobowiązujących, jakby obaj bali się poruszyć kwestię Mikołaja. Czekałam z niecierpliwością na wieści o Mikołaju. Chciałam je usłyszeć. Teraz, zaraz. Wierciłam się i miałam ochotę krzyknąć, żeby przestali rozprawiać o błahostkach, a jednak kiedy tylko milkli na krótką chwilę i brali oddech, żeby znowu zacząć rozmowę, bałam się, że powiedzą coś wreszcie o Mikołaju. Odsuwałam od siebie ten moment. Zaczęłam wyobrażać sobie, że jestem tu, w Paryżu, na wycieczce. Że zaproszono mnie, żebym mogła zwiedzić najbardziej romantyczne miasto świata.

Czy możesz mnie zrozumieć, Norciu? Czy wiesz coś z tego? Czy moje zachowanie, moje myśli były normalne?

Żałuję, że Cię tu nie ma. Że nie mogę schować się za Tobą. Złapać Cię za rękę. Jestem taka osamotniona. Boże, jak bardzo tęsknię za Jankiem. Staram się o nim nie myśleć, bo każda myśl powoduje ból. Jestem rozdarta. Przerazona.

W końcu pan Grabowski zapytał o syna. W salonie zapadła cisza. Dudniąca. Świdrująca. Wstrzymałam oddech i kiedy już hrabia Potocki miał odpowiedzieć, do salonu zaczęli schodzić się inni goście. Hrabia wstał, szepnął coś panu Grabowskiemu na ucho i zaczął nas przedstawiać innym. Przybywali ludzie różnego autoramentu. Byli starzy i młodzi. Prawnicy, poeci, malarze, muzycy. Najrozmaitsze zawody. Arystokracja, burżuazja, przedsiębiorcy, artyści. Jedni zachowywali się cicho i skromnie, chowając się gdzieś po kątach; drudzy byli bezceremonialni, czuli się jak u siebie w domu.

Przyglądałam się im z zaciekawieniem. Wchodzili do salonu jak do restauracji. Ktoś szepnął mi, że Potocki prowadzi dom otwarty.

Ludzie przychodzą do niego, żeby poznać innych ludzi. Większość miała stałe zaproszenie. Mogli wpadać do pałacu, kiedy mieli ochotę i czas. Zawsze byli mile widziani. Każdego dnia stół nakrywano na dwadzieścia cztery osoby.

Wieczór, w którym przybyliśmy, nie był wyjątkiem.

Podano kolację. Nie wiem, co jadłam. Nie wiem, jak smakowało jedzenie, ale przypuszczam, że było przepyszne. Potem był deser. Przez cały czas siedziałam jak na szpilkach. Pani Grabowska podobnie. Zauważyłam, że ledwie coś skubała. Nie mogłam doczekać się końca kolacji. A rozmowy wciąż trwały.

Co jakiś czas zerkałam na pana Grabowskiego. Był taki spokojny. Wyważony. Rozmawiał ze swoim sąsiadem. Konwersacja trwała w najlepsze. Nie wiedziałam, czy wypada podziękować i wymówić się zmęczeniem, dlatego siedziałam tam jak na tureckim kazaniu.

I wreszcie goście zaczęli się rozchodzić. Dopiero kiedy krzesła zaczęły szurać, usłyszałam, że zegar wybija jedenastą wieczorem.

Salon opustoszał przed północą. Zostaliśmy w nim tylko my i hrabia Potocki. Już bez wstępów, bez ceregieli Potocki powiedział, że Mikołaj przez pewien czas był pod opieką Towarzystwa Pomocy Rannym Polakom, dla którego chciałaś pracować, ale jak tylko poczuł się lepiej, został odesłany do małej wioski pod Paryżem. Mieszka z polską rodziną.

Jestem okropna, ale kiedy to usłyszałam, poczułam ulgę. Przez cały czas, aż do tamtej chwili, bałam się, że Mikołaj nagle wejdzie do salonu, a ja go nie poznam. Miałam wrażenie, że zacznę płakać. Tak bardzo mi ulżyło. Kamień spadł mi z serca. Zrobiło mi się słabo. Nie miałam odwagi spojrzeć na rodziców Mikołaja. A kiedy jeszcze hrabia Potocki powiedział, że będziemy mogli pojechać do Mikołaja dopiero za dwa dni, miałam ochotę się roześmiać. Pomyślałam, że oto dano mi jeszcze dwa długie dni. Kilkadziesiąt godzin na oswojenie się z sytuacją.

Dostałam czas, aby przygotować sobie w głowie wszystko, co chciałam powiedzieć Mikołajowi. A chciałam mu powiedzieć prawdę.

Paryż zwiedzaliśmy następnego dnia. Ja, pan Grabowski i przewodnik, którego przydzielił nam hrabia. Pani Grabowska została w pokoju, wymawiając się zmęczeniem, ale przypuszczam, że nie miała głowy do błahostek. Gdybym była matką, jak najszybciej chciałabym zobaczyć syna. Dla niej te dwa dodatkowe dni to pewnie niekończące się tortury.

Dla mnie też. Zresztą sama już nie wiem. Od chwili, kiedy dowiedziałam się, że Mikołaj żyje, sama siebie nie poznaję.

Jestem taka zmienna.

Taka niezdecydowana.

Wciąż zmieniam zdanie. Nastrój.

Raz jestem radosna, to znowu smutna. To ogarnia mnie euforia, to znowu marazm i nieprzyjemne myśli. Chciałabym mieć to wszystko za sobą.

Chciałabym, żeby było jak dawniej.

Chciałabym...

Norciu, jestem potworem!

Myślę o tym, ale wstydzę się powiedzieć to głośno. Tylko Tobie jednej mogę napisać. Chciałabym, żeby czas się cofnął...

Wybraliśmy się na Montmartre. Urokliwie tu. Te stare kamienice ciągnące się wzdłuż krętych, wznoszących się uliczek, których stary bruk kolebie się tu i ówdzie, skradły moje serce. Mogłabym tu zamieszkać. Spoglądać z okna na spacerujących turystów i artystyczną bohemę, której nie sposób nie zauważyć. Stałym punktem zwiedzania jest bazylika Sacré-Coeur, która wznosi się na wzgórzu, a biel jej gmachu razi w oczy, zwłaszcza w tak słoneczny dzień jak dziś. Weszliśmy do środka. Usiadłam w ławce, zatapiając się w modlitwie. Poprosiłam o siłę. Do pałacu wróciliśmy na obiad. Wieczorem zaś zaproponowano wyjście do kabaretu Moulin Rouge. Niestety, państwo Grabowsky

odmówili, a ja, choć miałam ochotę skorzystać, poszłam za ich przykładem. Nie był to jednak wieczór, który spędziłam w pokoju. Nie, tego bym nie zdzierzyła, kiedy bowiem jestem sama, myśli atakują mnie z każdej strony.

W towarzystwie kilku przyjaciół hrabiego udałam się do restauracji La Closerie Des Lilas w dzielnicy Montparnasse. Dzięki temu choć na chwilę zapomniałam o pytaniach i wątpliwościach, które mnie dręczyły. Żałowałam, że nie ma ze mną Janka i Ciebie.

Paryskie dziewczęta czeszą się na „chłopczycę”. Strzygą się krótko, prosto. Noszą frywolne sukienki, słuchają jazzu i tańczą tango.

Czy wiesz, czym jest tango?

Ja nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, że taniec może być taki zmysłowy. Zakochałam się w tangu. Pragnę się go nauczyć, a potem nauczyć Janka. Chcę z nim tańczyć tak, jak ci tancerze w La Closerie Des Lilas. Zmysłowo, powoli, blisko siebie, dynamicznie.

Ale czy mi wolno?...

Z tego wszystkiego zapomniałabym Ci napisać, że w pałacu, na naszej przedostatniej kolacji, spotkałam doktora Blocha. Nie wiedziałam, jak się zachować. Ale doktor uratował sytuację. Był naturalny, uprzejmy. Oczywiście pytał o Ciebie. Prosił, żebym Cię pozdrowiła.

Ma kogoś. Nie powiedział tego wprost, ale wyczytałam to z jego postawy, jego gestów, pomiędzy słowami. Nie, nie udawaj. To zabolalo. A może tylko mnie by zabolalo? Nieważne...

Pewnie czytasz ten długi list, przelatując po kartce wzrokiem, szukając informacji, o której powinnam napisać od razu.

Co u Mikołaja?

Mikołaj...

Czas pędzi.

Nie dało się odsunąć spotkania. Późnym popołudniem dotarliśmy do miasteczka Les Molières. Duży kamienny dom z niebieskimi okiennicami wyglądał tak przyjaźnie. Miałam wrażenie, że uśmiecha

się na nasz widok, ale ja czułam, że już za chwilę, w momencie kiedy przekroczy jego próg, moje życie zmieni się na zawsze.

Nie będzie powrotu do tych szczęśliwych chwil, które spędziłam w Tyńcu u boku Janka.

Nic już nie będzie takie samo...

Nie zdążyliśmy wyjść z auta, kiedy Mikołaj stanął w drzwiach. Minęło tyle lat, a on jakby wcale się nie zmienił. Trochę schudł, spoważniał, ale to wciąż był ten sam Mikołaj, który pewnego wieczoru przyniósł leki dla naszego ojca.

Pani Grabowska zaczęła płakać, pan Grabowski przytulił syna, zamykając go w ciasnym uścisku.

Mikołaj oddał uścisk. Na chwilę zamknął oczy, a potem skierował swój wzrok na mnie. Nasze spojrzenia się spotkały. Widziałam w jego źrenicach to samo uczucie. Ten wzrok przepelniony tęsknotą i ulgą, że jestem. Że przyjechałam.

Spuściłam głowę. Bałam się, że Mikołaj nie zobaczy w moich oczach tego, czego oczekiwał.

Boże, wybacz, ale nic nie poczułam. Tak, przyjaźń, sympatię, ale nie miłość.

Norciu, nie kocham Mikołaja. Wstydzę się o tym mówić, ale pogodziłam się z jego śmiercią. Nie chcę, żebyś myślała, że nie cieszę się z jego ocalenia. Cieszę się, ale nie mogę dać mu tego, czego on oczekuje.

Nie ma już powrotu do tego, co było.

Pożegnałam go.

Oplakałam.

Na jakiś czas moje życie stanęło, ale potem znowu ruszyło do przodu.

Nie potrafię go spowolnić. Cofnąć się.

Nigdy nie odzyskamy tego, co zostawiliśmy na Oleandrach, kiedy żegnaliśmy się z Mikołajem.

Chciałam powiedzieć Mikołajowi prawdę. Od razu. Bez zwlekania, ale nie mogę. Widzę po nim, że nie jest na to gotowy.



Obiecałam pani Grabowskiej, że poczekam.

Więc czekam.

Nie cofnę czasu, ale przynajmniej na razie mogę udawać, że czas się zatrzymał.

Stefcia

Eleonora odłożyła nieco wymięte kartki francuskiej papeterii, na której zauważyła znak wodny hrabiego Potockiego. Nie ludziła się, że list Stefci będzie wesoły i entuzjastyczny. Właśnie takiego tonu się spodziewała. Żałowała, że nie może być przy niej. Z drugiej jednak strony nie miała pojęcia, czy zdołałaby pomóc siostrze. Stefcia sama musiała poradzić sobie z burzą uczuć. Jedno było pewne, nie powinna, ba, nie mogła rezygnować z siebie.

Eleonora wstała. Zamierzała wysłać krótki telegram do Paryża. Miała nadzieję, że zostanie przekazany Stefci. Chciała napisać jedno zdanie. „Nie rezygnuj z siebie”. Właśnie takie przesłanie chciała podarować siostrze.

Przeglądała się akurat w lustrze, przy którym swego czasu wystawał ojciec, szykując się do wyjścia do banku. Miała wrażenie, że od tego czasu minęły wieki. Wtedy wszystko było inne. Prostsze, łatwiejsze.

– Norciu, dobrze, że cię widzę. Chciałbym zamienić z tobą słowo. – Ojciec wystawił głowę z gabinetu. – Wychodzisz? – zapytał rozkojarzony, jakby dopiero teraz zauważył, że Eleonora stoi w pełnym rynsztunku, gotowa wyjść z domu. – Czy to nie może poczekać? Obawiam się, że znowu się miniemy?

Miał rację. Mieszkali pod jednym dachem, a zdarzały się dni, że w ogóle się nie widywali. Zwłaszcza teraz, kiedy wyjechała Stefcia. Co się stało z naszą rodziną, pomyślała Eleonora. Kiedy rozpadliśmy się na kawałki? Dlaczego w porę nie zauważyłam niepokojących symptomów?

Uśmiechnęła się do ojca i ściągnęła płaszcz, czapkę i rękawiczki.

– To nic ważnego. Chciałam wysłać telegram do Norci. Mogę zrobić to później.

– Poproś Szymona albo Justysię. Ma młode nogi. – I po tych słowach Schramm zniknął w czeluściach gabinetu.

W sumie ojciec ma rację. Kwadrans później Eleonora sadowiła się w wygodnym fotelu, który kiedyś zajmowała matka, a Justysia ubierała się, trzymając w dłoni kartkę z jednym prostym przekazem mającym dodać Stefci otuchy i pewności siebie.

– Dobrze się składa, bo ja też chciałam z ojcem porozmawiać.

Schramm uniósł głowę znad papierów zalegających na jego biurku i spojrzał na córkę, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że poprosił ją o rozmowę.

– Tak, tak – powiedział dziwnie roztargniony. – Tak – powtórzył, nie mogąc zebrać myśli. – Zacznijmy może od twojej matki. – Eleonora poruszyła się niespokojnie w fotelu. – To tak *à propos* telegramów. Otrzymałem wczoraj jeden od Tekli. Jeżeli ludziłaś się jakąś nadzieją na szybki powrót matki do domu, to możesz o tym zapomnieć. Tekla nie przebywa już w Wieliczce. Wyjechała do Anglii. I tylko tyle wiem. Treść wiadomości była dramatycznie krótka i lakoniczna. – Schramm wysperzał spod dokumentów małą kartkę opatrzoną pocztowymi stemplami. – Jestem w Londynie. Stop. Nie wiem, kiedy wrócę. Stop. Pozdrawiam – przeczytał. – O nic nie pytaj. Jak widzisz, sam mam tysiące pytań i ani jednej odpowiedzi. Kolejna sprawa to ty i Julian. – Jan zrobił znaczącą przerwę i spojrzał na córkę uważnie.

Eleonora poczuła, że się czerwieni. A więc ojciec wiedział. Mogła się tego spodziewać.

– Sam byłem młody, znam życie – zaczął mówić dalej. – Macie już swoje lata. Wojna nieco pokrzyżowała wszystkim plany. Nie ma co udawać, że jest, jak było. Idzie nowe i nie mam zamiaru zgrywać świętoszka. Niemniej jednak nie wszyscy są tacy tolerancyjni. Ogłoście wreszcie oficjalnie zaręczyny, a ślub możecie przygotowywać powoli,

jak wam pasuje. Dalszego przeciągania lub pogłębiania niestosowności w waszym zachowaniu nie zdzierzę.

Schramm spojrział na Eleonorę, która ze zdziwienia nie potrafiła powiedzieć jednego słowa, dlatego skinęła tylko głową.

– Dobrze, bardzo dobrze – mówił Jan, znowu wpadając w lekkie roztargnienie. – Stefcia... Wspomniałeś o liście. Co tam u niej? Dojechała szczęśliwie? Jest w Paryżu? Spotkała Mikołaja?

– Dojechała szczęśliwie. Mieli przesiadkę w Pradze. Podróżowali Orient Expressem. Przez kilka dni mieszkali w pałacu hrabiego Potockiego. Widziała się z Mikołajem.

Eleonora zamilkła. Nie wiedziała, czy poruszać z ojcem temat dylematów Stefci. Odniosła wrażenie, że słowa siostry skierowane są tylko do niej. Najwyraźniej Schramm wyczytał z jej miny więcej, niż chciała powiedzieć, ponieważ skinął tylko głową i nie drażył tematu.

– Nie wiem, czy już doszły do ciebie słuchy, ale sądzę, że Julian podzielił się z tobą nowiną. Otóż ja i hrabia Michałowski podjęliśmy kolejną próbę połączenia sił w interesach. Nabyliśmy willę Decjusza. Zamierzamy dać temu miastu dom handlowy z prawdziwego zdarzenia. Zrobimy z niego krakowskiego Harrodsa. Mam dziwne wrażenie, że przyjdzie mi porozmawiać z Teklą na neutralnym, londyńskim gruncie. Zamierzam upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Obejrzyć Harrodsa z bliska i rozmówić się z twoją matką.

W gabinecie na kilka chwil zapadło długie milczenie. Schramm uśmiechnął się do córki i widząc, że ta nie ma nic do powiedzenia, dodał z błyskiem w oku:

– Rozmawiałem z Julianem. Spotkałem go przypadkiem w szpitalu. Sprawy związane z załatwieniem formalności wyjazdowych zajmą mi kilka dni. – Niespodziewanie Schramm przerwał.

Rozejrzał się po pokoju, jakby nagle coś sobie przypomniał. Zaczął przerzucać dokumenty. Zaglądać pod segregatory, marszcząc przy tym brwi. W końcu wyciągnął list, którego szukał.

– Byłbym zapomniał. W sumie poprosiłem cię tu właśnie z tego powodu. To korespondencja adresowana do Grabowskich, ale zgodnie z ustaleniami, które poczyniliśmy z panem Grabowskim przed ich wyjazdem, wszelkie listy natury urzędowej trafiają do mnie. Otóż za kilka dni, to jest w niedzielę szesnastego stycznia, po mszy w kościele Mariackim na Rynku zostaną wręczone Ordery Virtuti Militari. Jednym z ponad pięćdziesięciu wyznaczonych do odznaczenia jest Mikołaj.

– Wielka szkoda, że nie będzie mógł odebrać go osobiście. – Eleonora weszła ojcu w słowo.

– Otóż to – podchwycił Schramm. – I stąd moja prośba do ciebie. Chciałbym, żebyś w imieniu Mikołaja i jego rodziców odebrała order. Będzie piękniej.

– A dlaczego ojciec twierdzi, że będzie lepiej? – Eleonora nie kryła zaskoczenia.

– Norciu, nie powiedziałem, że będzie lepiej, ale piękniej. Owszem, mógłbym odebrać odznaczenie, ale uważam, że ty i Julian zaprezentujecie się bardziej elegancko. Rzec by można, bardziej reprezentacyjnie – mówiąc to, uśmiechnął się zawadiacko.

Eleonora pokiwała głową. Dalsze spory nie miały sensu.

– Dobrze, niech będzie. Porozmawiam z Julianem.

– A potem możecie sobie wyjeżdżać. – Schramm mrugnął do córki.

– Ojciec jest w doskonałym humorze, a ja zamartwiałam się, że tatko siedzi w swoim gabinecie, martwiąc się i smucąc.

– Dziecko drogie, od lat nie czułem w sobie takiej werwy. Pewnie czułbym się jeszcze lepiej, gdyby wasza matka nie sprawiała kłopotów, ale to błahostka. Ostatnie poczynania moje i hrabiego Michałowskiego dodają mi skrzydeł. Ujmują lat. Znowu czuję się jak młody Jan, który nieśmiało stawia kroki w bankowości, wchodząc do wody pełnej finansowych rekinów. Był czas, kiedy żałowałem strasznie sprzedaży naszego banku. To był błąd, mówiłem sobie. Trzeba było zostać przy tym,

co mieliśmy, ale nawet rozsądny człowiek czasami zmienia się w chytrusa. Patrząc na to z perspektywy czasu, sędzę, że tak miało być. Ta sprzedaż, ta nieudana spółka miała mnie doprowadzić do tego miejsca.

– Ojciec promienieje. Tak wygląda człowiek, który się zakochał. – Bo ja czuję się jak zakochany podłotek. Zakochałem się w tej idei. Tym pomyśle. Wciąż planuję, dopracowuję, poprawiam, przeglądam. I ta myśl o wyjeździe do Londynu. Jakbym znowu miał lat dwadzieścia parę. Odzyskałem młodość.

Chwilę później Eleonora opuściła gabinet Schramma. W dłoni trzymała list adresowany przez magistrat do państwa Grabowskich. Żałowała, że pospieszyła się z telegramem. Miło byłoby przesłać taką dobrą wiadomość.



– Byłam zaskoczona, widząc Janka.

Eleonora odwróciła głowę w stronę prowadzącego samochód Juliana.

Wczesnym rankiem, nazajutrz po uroczystości wręczenia krakowskim żołnierzom orderów za bohaterską postawę, wyruszyli do Zakopanego.

– A ja nie – odpowiedział, nie odrywając wzroku od drogi.

Trasa, nazywana jedyką i uważana za najważniejszą drogę w kraju, nie odznaczała się najwyższą jakością. Chociaż w porównaniu z innymi drogami i tak nie można było narzekać. Polskie drogie niestety nie zachwycały, jeżeli chodzi o jakość nawierzchni i architektury, ale trasa z Krakowa do Zakopanego przynajmniej nadabiała malowniczymi widokami, które w zimie nadawały jej wręcz baśniowego sznytu.

– O ile dobrze pamiętam – mówił Julian – brał udział w walkach w Belgii. Trafił do Włoch do niewoli, został ranny. Wrócił do Krakowa w opłakanym stanie. Zasłużył na medal.

– Ty też, a jednak go nie dostałeś. – Oburzyła się Eleonora.

– Nie gniewam się na nikogo z tego powodu, a już z pewnością nie na Janka czy Mikołaja. Mam przeczucie, że oni oddaliby te mdale bez żalu, gdyby tylko zaoszczędzono im wojennych perturbacji i dramatycznych przeżyć.

Przez kolejne minuty jechali w milczeniu. Julian skupiony na niełatwej, ośnieżonej drodze, Eleonora na własnych myślach, krążących wokół Stefci.

– Bałam się, że Jan podejdzie do mnie. Czuję się jak największy tchórz. Nie zostałam nawet na defiladzie, która ponoć była piękna i wzruszająca. Zrejerowałam. Ale nie wiedziałabym, co mu powiedzieć, a już w kościele podczas mszy widziałam, jak na mnie spogląda. Z nadzieją, że powiem coś o Stefci. Że przekażę mu kilka słów od niej.

– Czasami lepiej stchórzyć. Mogłaś powiedzieć coś, co wzbudziłoby w Janie nadzieje, których może nie być. Z drugiej strony mogłabyś powiedzieć coś, co załamałoby go, a tymczasem rzeczywistość będzie zupełnie inna. Lepiej, żeby poczekał na powrót Stefanii. Tę rozmowę muszą odbyć osobiście. Bez przysłowiowego adwokata. – Julian odwrócił się w stronę Eleonory z pokrzepiającym uśmiechem na twarzy.

– Mogliśmy kupić bilety na pociąg. Ojciec coś sugerował. Wspomniał, że Luxtorpeda z Krakowa do Zakopanego jedzie niecałe dwie i pół godziny.

– Dzięki Bogu, że wybraliśmy mojego pocziwca. Podziwiamy piękne widoki i możemy cieszyć się tylko swoim towarzystwem. A tak na marginesie, poważnie zastanawiam się nad kupnem nowego modelu.

– Jesteś pewny? – zapytała Eleonora. – Lubię to auto. Za każdym razem, kiedy je widzę, wracają wspomnienia. Nasze pierwsze spotkanie. Przed sklepem Gałkowskiej.

Julian pokiwał głową. On też darzył ten samochód sentymentem. Właśnie z tego powodu wciąż jeszcze odsuwał moment zakupu nowego modelu.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Julian, parkując forda przed okazałym drewnianym domiszczem w stylu zakopiańskim. – To willa Pod Jedłami. Nazwano ją tak z powodu okalających dom jodeł. Szkoda, że robi się ciemno i nie możemy już teraz zobaczyć majestatu drzew stojących dookoła.

– Mam wrażenie, że kiedy zapraszałeś mnie do Zakopanego, nie ten dom miałaś na myśli? – Eleonora podziwiała okazałą drewnianą konstrukcję osadzoną na kamiennej podbudowie.

– Masz rację. Jeszcze tydzień temu nie miałem pojęcia, że trafi się taka okazja. Byłem u ojca w szpitalu, kiedy odwiedził go dawno niewidziany dobry znajomy, profesor Pawlikowski, z którym ojciec miał przyjemność uczyć się w Gimnazjum św. Anny, a potem przez krótki czas studiowali razem na naszym uniwersytecie. Od słowa do słowa i powiedziałem, że zamierzam odpocząć w Zakopanem. Nie śmiałem odmówić, kiedy profesor zaprosił mnie tutaj. Taka okazja może się już nie powtórzyć.

Po chwili ruszyli w stronę domu, którego oświetlone okna zapraszały do wejścia. Eleonora z ciekawością przyglądała się detalom majestatycznej konstrukcji. Kunsztownym rzeźbionym elementom balustrady, schodom, które skrywały się w solidnej kamiennej podmurówce, czy rozległej werandzie. Szum drzew koił jej nerwy i napawał otuchą.

## Rozdział 2

Eryk zerknął do lustra. Nie przepadał za garniturami, ale nie zamierzał dyskutować z obowiązującym *savoir-vivre*'em. Musiał jednak przyznać, że wyglądał bardzo korzystnie w modnych ostatnio modelach, dopasowanych do sylwetki, z marynarką lekko wciętą w tali, do której zakładano spodnie o delikatnie zwężających się nogawkach.

Komplet, który założył dziś po raz pierwszy, kupił zaledwie kilka dni temu w zakładzie krawiectwa damskiego Kamila Suessela na Szewskiej, który to zakład pragnął rozszerzyć swoje usługi także dla panów. Cena była nader przystępna, zgodnie z reklamą, jaką swego czasu zauważył w „Ikacu”.

Obrócił się jeszcze ze dwa razy, zastanawiając się, czy czasem zestaw nie kosztował tak mało, ponieważ był źle odszyty, ale wręcz przeciwnie, materiał, dobrej jakości wełna, leżał zgrabnie na jego wysportowanej sylwetce, uwypuklając jej walory.

– Wygląda pan rewelacyjnie – zachwalał właściciel, kiwając głową z uznaniem. – Będzie pan chodzącą reklamą naszego zakładu. Dam go jeszcze nieco taniej. Wszak warto inwestować, spodziewając się kolejnych klientów, którzy widząc pana, będą chcieli wyglądać tak dobrze. – Uśmiechnął się przy ostatnich słowach, dając Erykowi do zrozumienia, że byłby wdzięczny za wspomnienie tu i tam, gdzie garnitur został nabyty.

Eryk lubił ludzi otwartych i przedsiębiorczych, dlatego nie zamierzał ukrywać, gdzie dokonał zakupu, jeżeli ktoś zechce się



tego dowiedzieć. Skropił się jeszcze wodą kolońską Alba i ruszył do drzwi.

Żałował, że nie spędzi tego wieczoru z Rozalią, tak jak planował uprzednio.

– Wybacz, Eryku – mówiła Rozalia, kiedy w środę drugiego lutego zaproponował, żeby pierwszą część karnawałowej soboty spędzili w kinie. – To cudowna propozycja. Od jakiegoś czasu miałam ochotę zobaczyć *Tarzana wśród małp*, którego grają w „Uciesze”, ale niestety nie tym razem.

Musiała dostrzec jego zawiedzioną minę, ponieważ uśmiechnęła się pocieszająco, głaszcząc go po twarzy, niczym małego, rozkapryzonego chłopczyka.

– Matka przyjmuje przyjaciół ze Lwowa, państwa Ochockich. Jak wiesz, Julian jest w Zakopanem, ojciec wciąż jeszcze nie w pełni sił, ba, powiedziałabym, że powinien zażywać spokoju, a nie oddawać się zabawie, ale kiedy tylko państwo Ochoccy dowiedzieli się o wypadku taty, postanowili odwiedzić go przy nadarzającej się okazji. Wiem, co chcesz powiedzieć i co chodzi ci po głowie, że mogłabym odmówić. Myślałam o tym, ale nie chcę tego robić, chociażby ze względu na ojca. A i z matką, jak wiesz, nie jest mi po drodze. Nie chciałabym jeszcze bardziej zaogniać naszych stosunków.

I tak, zamiast do kina w towarzystwie Rozalii szedł w stronę Kościelnej, gdzie niedaleko kościoła św. Szczepana mieszkali rodzice Augustyna, którzy zaprosili go na organizowany bal karnawałowy.

– Oczywiście nie naciskamy – mówił Eugeniusz Grimm, patrząc na Eryka. – Wiem, że Augustyn nie zaplanował dla siebie nic szczególnego na ten wieczór, co oczywiście przyjęliśmy z Henryką z wielkim zaskoczeniem, ale jeżeli masz już jakieś plany z panną Rozalią, to nie naciskam. Chyba że zechcecie wpaść do nas.

Taki pierwotnie Eryk miał zamiar. Kino, spacer, odwiedziny u państwa Grimmów, a potem wizyta u Rozalii, ale przyjęcie wydawane przez

hrabinę Michałowską wszystko zmieniło. Rozalia namawiała go, żeby poszedł razem z nią. Prawie się pokłócili, kiedy stanowczo odmówił.

– To jeszcze nie ten czas. – Próbował ją udobruchać, tuląc do siebie. – Jak sama powiedziałaś, jesteś z matką w nie najlepszej komitywie. Moje pojawienie się z pewnością nie poprawiłoby jej nastawienia do mnie. Niech przywyknie.

W końcu dała się przekonać. Szkoda, pomyślał, idąc żwawo Krowoderską. Było mu chłodno. Na białą koszulę i marynarkę narzucił płaszcz. Ten niestety nie chronił go tak dobrze przed zimnem jak jego ulubiona kurtka pilota. Dobrze, że nie zapomniał także o skórzanych rękawiczkach, szaliku, którym ciasno owinął kark, chociaż inni eleganci przewieszali go jedynie dla ozdoby.

Na głowę chciał założyć swój nieco już wysłużony kaszkiet, ale Augustyn pokiwał tylko głową z powątpiewaniem dla jego stylu i wręczył mu jedną z własnych fedor. Najchętniej przyspieszyłby jeszcze kroku, lecz lekkie buty, które wyglądował na błysk, ślizgały się na ośnieżonym chodniku.

W końcu stanął przed domem Grimmów. We wszystkich oknach paliły się światła. Na chodniku, wzdłuż kutego, eleganckiego ogrodzenia, ustawiły się drogie samochody. Nawet tu, gdzie stał Eryk, dało się słyszeć rozmowy, śmiech i muzykę. Zdanowski pomyślał, że może lepiej wrócić do domu, i już robił krok w tył, kiedy ogrodowa furтка otworzyła się na oścież.

– Chyba nie chcesz dać nogi – zaśmiewał się Augustyn. – Wypatruję cię cały wieczór. Od razu pomyślałem, że jak tylko zobaczysz, co się u nas wyprawia, to będziesz chciał zdezerterować. Nie ma mowy, zwłaszcza teraz, kiedy musimy poważnie porozmawiać. Eryk spojrzał na przyjaciela. Chociaż oczy Augustyna wyrażały radość, ton jego głosu był poważny i poważna była jego mina.

Willa Grimmów była jedną z bardziej okazałych na ulicy Kościelnej, która służyła z pięknych, eleganckich i drogich domów. Częściowo

podpiwniczona, liczyła ponad dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Małą część domu przeznaczono dla służby, która miała też osobne wejście. Na parterze znajdował się ogromny salon z pięknym kominkiem, który przydawał mu ciepła, nie tylko dosłownie. Dalej była duża kuchnia, gościnna łazienka i weranda, na której w okresie wiosenno-letnim długie godziny spędzała pani Henryka Grimm, matka Augustyna. Na poddaszu znajdował się hol, trzy sypialnie, mały gabinetek – prywatne królestwo Eugeniusza Grimma, biblioteczka oraz łazienka z garderobą. Do sypialni państwa domu przylegał duży balkon, rzec by można – taras. W części wydzielonej dla służby mieściła się niewielka kuchnia, łazienka z prysznicem oraz dwa pokoje. Swego czasu, będąc dzieckiem, jeden z nich zajmował Eryk.

Dach pokrywała czerwona dachówka. Na kamiennym kominie przycupnął kuty kogut, wskazujący kierunek wiatru.

Po krótkim, kurtuazyjnym przywitaniu Augustyn zaciągnął Eryka do gabinetu ojca na piętrze. Zamknął drzwi, żeby odciąć się od panującego w domu gwaru.

– Siadaj – powiedział poważnie. – Bo i tak usiądziesz, kiedy się dowiesz. Od dawna czekamy na list z Poznania. I imaginuj sobie, że wieści dotarły. Przysłano je na Kościelną, ale spokojnie, nie ekscytuj się tak – mówił widocznie zbulwersowany Augustyn. – Wieści nie są takie, jakie chcielibyśmy przeczytać. W grudniu Ławicę zamknięto.

– Co! – krzyknął Eryk, zrywając się z fotela.

– Uspokój się. – Młody Grimm położył ręce na ramionach Zdankowskiego, zmuszając go do ponownego zajęcia miejsca. – Masz, poczytaj sobie. – Sięgnął do ojcowskiego biurka i podał Erykowi krótkie urzędowe pismo.

– I co ja powiem Rozalii? – zapytał Eryk, odkładając korespondencję.

Przez dłuższą chwilę dyskutowali nad wyborem, jaki im przedstawiono. Pewnie siedzieliby w gabinecie jeszcze przez kolejne godziny, gdyby nie poproszono ich do stołu.

Menu Grimmów zawsze było wykwintne. Tym razem nie mogło być inaczej. Obok smażonego szczupaka w sosie chrzanowym, popi-sowego dania kucharki Grimmów, pojawił się comber sarni z włoskim makaronem, sprowadzonym specjalnie z Italii, oraz z galaretką porzeczkową, domowej roboty pani Henryki, która pasjami uwielbiała robić przetwory z owoców pochodzących z przydomowego ogrodu. Była także pachnąca szynka na gorąco z purée ziemniaczanym oraz sałata z cykorii. Na drewnianych deskach podano różne rodzaje serów, zaś na eleganckich porcelanowych paterach i w miskach bakalie, faworki, pączki oraz tort i ciastka z czekoladowym kremem z kawalkami bel-gijskiej ciemnej czekolady. W delikatnej szklanej misie zaserwowano poncz. Na ustawionym nieopodal głównego stołu kredensie stały tale-rze wypełnione zimnymi przekąskami, które serwowano do wódeczki: śledzie w majonezie, sardynki, szprotki, znieawidzone przez Eryka anchois, sałatki z raków i homarów, rolada z prosięcia czy półgęski, podawane na modnych ostatnio tartinkach. Eryk wiedział z doświadczenia, że w kuchni czekają jeszcze zapewne aromatyczny gulasz, kilka rodzajów mięsa lub fłaczki po krakowsku, które bardzo lubił. Nie sądził jednak, żeby miał ich dziś skosztować. Na stół powinny wjechać dopiero po północy, a on nie zamierzał siedzieć tu tak długo. Po przeczytaniu listu ze szkoły na poznańskiej Ławicy nie miał humoru na zabawę.

Musiał się zamyślić, ponieważ siedząca obok niego starsza pani zagadnęła go nagle nieco głośniejsze:

– Zastanawiam się, czy tak zachwyił pana ten cudowny witraż w tamtych drzwiach francuskich – mówiąc to, skinęła w stronę drzwi prowadzących na taras. – Czy może śni pan na jawie?

Eryk nie mógł się nie roześmiać.

– Przepraszam, kiepski ze mnie towarzysz. Nie jestem dziś skory do rozmowy.

– Och, ja całe życie nie jestem skora do rozmowy, ale udaje mi się to całkiem gładko zatuszować. A wracając do witraża, chociaż wiem

doskonale, że nie kontemplował pan jego piękna, to i tak panu powiem, że powstał w zakładzie Żeleńskiego. – Starsza dama zyskała jego zainteresowanie. Eryk odwrócił się w jej stronę, dając do zrozumienia, że chętnie posłucha jej opowieści. – Pracownia powstała na początku wieku. Nie byłam już wtedy najmłodsza. – Uśmiechnęła się niczym mała kokietka, czym wprowadziła Zdanowskiego w nieco lepszy nastrój. – Miałam wrażenie, że życie już zdążyło przeciec mi przez palce. Wyszłam za mąż za mężczyznę, którego nawet nie lubiłam, ale tak trzeba było. I tak miałam więcej szczęścia niż moja starsza siostra, świeć, Panie, nad jej duszą. Mój Teofil przynajmniej nie był stary, ale zachowywał się zawsze jak starzec, co rzucałam na karb jego imienia. Ktoś, kogo ochrzczono jako Teofila, już w kołysce był stary. – Eryk roześmiał się na głos, ściągając spojrzenie Augustyna, który flirtował ze swoją sąsiadką na drugim końcu stołu. – Bozia poskąpiła mu wszystkich walorów, niestety. Dała jedynie dobre nazwisko i pieniędzy bez liku. Początkowo właśnie w nich upatrywałam swojego wybawienia. Kupowałam stroje, precjoza, biżuterię. Zwiedziłam Europę. Ależ ile można próżnować.

– Zapewniam panią, że znam takich, którzy mogą to robić całe życie.

– Ale ja nie należałam do tego typu ludzi. Od zawsze miałam zbyt dużo energii. Chciałam pracować. Chciałam być prawnikiem jak mój ojciec. Albo lekarzem, jak stryj, ale gdzież tam. Kobieta adwokat albo doktor. Świat musiałby się skończyć, tak wtedy mawiano i tak myślałam.

– Więc chyba się kończy – wtrącił Eryk.

– Mam szczęście, że tego doczekałam. Ale wracając do witraża. W końcu miarka się przebrała. Powiedziałam Teofilowi, że albo pozwoli mi znaleźć sobie zajęcie, albo ucieknę z pierwszym lepszym cyrkiem, który zawita do miasta. Uwierzył, kiedy ubrałam się w strój kabaretowy przywieziony z Paryża. Był przerażony i zgorzony. Przez

kilka dni paradowałam w nim po domu. Długo szukałam zajęcia. Aż pewnego dnia zajrzałam do Krakowskiego Zakładu Witrażów. Zachwyciłam się ich pięknem. Przychodziłam tam każdego dnia. Oglądałam, pytałam, przyglądałam się pracy witrażystów. Wreszcie zdobyłam się na odwagę i zagadnęłam Antosia, znaczy się Antoniego Tucha, jednego z założycieli pracowni, czy mogę terminować pod jego albo Władysława Ekielskiego okiem. Myślał, że żartuję, ale byłam nieugięta. Chciałam nawet zaszantażować ich tak jak Teofila, ale pomyślałam, że strój kabaretowy tu nie pomoże. – Eryk śmiał się coraz głośniej. – Kilka miesięcy po tym, jak zaczęłam się uczyć, do spółki przystąpił Staś, to znaczy Stanisław Gabriel Żeleński. Żalowałam, że jest nie tylko młodszy ode mnie, ale i żonaty. Był taki przystojny i utalentowany. Nie wiem, czy fascynowała mnie bardziej jego uroda czy umiejętności. Godzinami mogłam przyglądać się, jak tworzył. Sporo się od niego nauczyłam. Dwa lata później zakład przeniesiono na Krasieńskiego 23, a ja zrozumiałam, że czas skończyć tę piękną przygodę. Witraż, któremu się pan nie przyglądał, wyszedł spod zręcznych palców Stasia, a gdyby pan miał kiedyś chęć i okazję zobaczyć moje dzieło, to proszę się wybrać na Karmelicką 27. Znajdzie pan tam witraż z irysami, który notabene posłużył za wzór pewnej utalentowanej damie, która namalowała fresk w kamienicy Pod Irysami. Ta dama to moja wnuczka. – Starsza pani sięgnęła po filiżankę parującej aromatycznej kawy, którą właśnie podano. – A pan, czy ma pan kogoś? – zapytała bez ogródek.

– Dla pani jestem gotów ją rzucić – powiedział, uśmiechając się szeroko.

Głośny śmiech starszej damy sprawił, że prawie wszyscy goście zamilkli i z zainteresowaniem spoglądali na Eryka.

Jeszcze przez jakiś czas konwersował z panią Emilią Staniszewską z domu Poniatowską, która jak go zapewniła, w żaden sposób nie była skolięgacona z tymi Poniatowskimi.

- Gdyby tak było, mierzyłabym znacznie wyżej niż w Teofila.  
Pożegnał się tuż przed północą.
- Wieczór nie zaczął się tak, jak powinien – mówił Eryk, żegnając się z wdową Staniszewską. – Ale dzięki pani skończył się cudownie.
- Och, młodzieńcze, wierz mi, większość mojego życia zaczęła się tak, jak nie powinna, ale przynajmniej jego końcówka zaczyna nabierać rumieńców.
- Wracał na Krótką w doskonałym humorze, który od czasu do czasu psuły mu powracające natrętne myśli, że nie pojedzie do Poznania. Nie wiedział jeszcze, którą szkołę wybierze, ale wiedział jedno, jego decyzja zasmuci Rozalię.



Eryk spacerował nieopodal strzelnicy garnizonowej na Woli Justowskiej, którą wzniesiono pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, a tuż przed końcem stulecia rozbudowano. Był tu kilka razy przed wojną, kiedy strzelnica stała się własnością członków Związku Strzeleckiego i legionistów Piłsudskiego. Teraz należała do garnizonu krakowskiego. Odwrócił się w stronę gmachu. Przyglądał mu się z uwagą. Długo, intensywnie. Budynek jednak nie wyzwał w nim żadnych emocji.

To dobrze, pomyślał. Chciał zapomnieć o wojnie. Szło mu całkiem nieźle.

Znowu zaczął spacerować. Czekał na Rozalię, z którą umówił się na spotkanie. Powiedział, że chce z nią porozmawiać, i choć naciskała, żeby uchylił rąbka tajemnicy, nie pisał ani słówka. Spojrzał na zegarek. Przyszedł wcześniej. Chciał na świeżym, rześkim powietrzu ukoić skołatane, napięte jak postronki nerwy.

Dwa dni po balu, dzięki uprzejmości pana Grimma, wyruszyli z Augustynem na mały rekonesans. Najpierw do Bydgoszczy, potem do Grudziądza. Chcieli na własne oczy zobaczyć obie wymienione

w liście szkoły. Wyprawa zajęła im dwa dni, ale i on, i Augustyn byli zadowoleni.

Dopiero kilka dni po powrocie z Bydgoszczy Eryk odważył się odwiedzić Rozalię i pomimo nacisków z jej strony, żeby porozmawiali w domu, zaprosił ją na spacer.

Wypatrzył ją z daleka. Dzień, w którym ją poznał, uważał za jeden z dwóch najważniejszych w życiu. Drugim była Wigilia, kiedy stanęła na progu jego rodzinnego domu na Łobzowskiej, a on w końcu odważył się powiedzieć otwarcie, w obecności rodziny, że ją kocha.

To uczucie rosło w nim każdego dnia. Zastanawiał się, jak wytrzyma bez niej tyle czasu. I czy Rozalia zgodzi się na tak długą rozłąkę?

– Mam nadzieję, że miałeś dobry powód, żeby w taki ziąb wyciągać mnie z ciepłego domu. – Rozalia stanęła tuż przed Erykiem i nie bacząc na innych spacerowiczów, pocałowała go na powitanie.

Jej otwartość i odwaga zaskakiwały go co chwila. Oddał pocałunek. Najchętniej na dłużej zatopiłby się w jej ustach, ale nie zamierzał aż tak bardzo łamać konwenansów.

– Chciałem porozmawiać o szkole – zaczął Eryk niepewnie. – Na balu u Grimmów Augustyn pokazał mi listy, jakie przysły na adres jego rodziców. Nie wyjeżdżam do Poznania. Ławica została zamknięta.

Rozalia przystanęła. Na jej ustach pojawił się szeroki uśmiech. Tego Eryk obawiał się najbardziej. Bał się zburzyć tę radość. Tę nadzieję, że zostaje. Zaczerpnął powietrza.

– Kilka dni temu byliśmy z Augustynem w Grudziądzu i Bydgoszczy. – Patrzył, jak uśmiech znika z jej ust, a oczy stają się smutne. – Są tam dwie szkoły dla pilotów. Chcieliśmy zrobić rekonesans.

– Którą wybrałeś? – zapytała szeptem.

– Grudziądz. Na tamtejszym lotnisku już od roku organizowano szkolenia lotnicze. Mają doskonałe zaplecze. Korzystają z koszar, lotniskowej infrastruktury, hangarów. Podobno mają mniej samolotów niż ci ze szkoły w Bydgoszczy, ale popytałem na własną rękę tu i tam.



I prawie wszyscy, z którymi rozmawiałem, także ludzie z Bydgoszczy, uważają, że grudziądzcy nauczyciele to najlepsi z najlepszych. Uczą tam także piloci z Ławicy. Komendantem Wyższej Szkoły Pilotów jest podpułkownik pilot Piotr Abakanowicz, którego miałem okazję spotkać raz w Krakowie. To doskonały szkoleniowiec i jeszcze lepszy pilot.

– Powinieneś uczyć się od najlepszych. – Rozalia wciąż trzymała Eryka pod ramię.

Przyciskała go do siebie coraz mocniej, jakby chciała mieć pewność, że jednak nie wyjedzie.

– Będę tam miał okazję szkolić się na wszystkich typach samolotów, jakimi dysponuje wojsko. Także na myśliwcach i niszczycielach. Jestem doskonałym kandydatem. Jednym z lepszych, ponieważ mam już za sobą szkolenie lotnicze w niższej szkole pilotażu. Większość to cywile. Nieliczni przeszli wstępne szkolenie w Korpusie Kadetów.

– Będziesz najlepszy. – Uwielbiał pochwały z jej ust.

Miał taką nadzieję. Za kilka dni czekały go badania lekarskie. Musiał być w pełni sił, o nienagannym stanie zdrowia.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała Rozalia, przełykając tworzącą się w gardle gulę. – I na jak długo?

Eryk westchnął ciężko. Spodziewał się tego pytania.

– Pod koniec miesiąca. Szkolenie trwa dwa lata. – Zamilkł na chwilę. Czekał, aż Rozalia coś powie, ale ona szła dalej, patrząc przed siebie. Przycisnęła się do niego jeszcze bardziej. To był jedyny znak, że usłyszała jego słowa. – Zgrupują nas w Eskadrze Szkolnej. Będą nas nazywać podchorążymi. Dostaniemy jednakowe umundurowanie. – To była dla Eryka nowość. Do tej pory uczniowie w krakowskiej szkole, i nie tylko, nosili różne umundurowanie. – Będą zajęcia teoretyczne i praktyczne.

– A co po zakończeniu? – Rozalia w dalszym ciągu nie patrzyła na Eryka.

– Spójrz na mnie – poprosił. Zatrzymał się. Ona też, ale zamiast na niego patrzyła ponad ramieniem Zdanowskiego. Gdzieś przed siebie. – Rozalio, proszę, spójrz na mnie. – W końcu posłuchała. – To tylko dwa lata. Grudziądź nie jest na drugiej półkuli. Będę przyjeżdżać, kiedy tylko się da. Masz moje słowo. Wróć. Wierzysz mi? – zapytał. Nieśmiało skinęła głową. Przytulił ją do siebie.

Po chwili odsunęła się od niego na wyciągnięcie ramion.

– A więc co po zakończeniu? – powtórzyła pytanie.

– Otrzymam tytuł pilota, stopień porucznika i możliwość przydziału do jednostki wojskowej.

– Augustyn musi mi obiecać, że będzie cię pilnować – powiedziała po chwili, znowu biorąc go pod rękę.

Ruszyli przed siebie spacerkiem.

– Augustyn wybrał Bydgoszcz. – Eryk z trudem wypowiedział te słowa.

Bał się, że Rozalia zapyta dlaczego, a on będzie musiał jej powiedzieć, że tam nauka trwa tylko jedenaście miesięcy, ale Rozalia milczała, a Eryk i tak czuł się podle.